

WSZYSCY, którzy, czy to w latach łódzkich, jak Tamara Karren, czy w latach warszawskich (patrz np. barwne wspomnienia Tadeusza Wittlina z dawnej literackiej Warszawy) znaliśmy Tuwima, pamiętamy jego napiętą, nerwową twarz o ostro zarysowanym profilu i o charakterystycznej „myszce”, tj. szarym zamienianiu na policzku, pokrytym ciemnym włosem. Była to uderzająca cecha wyglądu znakomitego poety, tak podkreślana czy to w portretach, czy w szkicach satyrycznych, że Tuwim bez „myszki” nie byłby Tuwimem prawdziwym.

We wstępującym wspomnieniu z dzieciństwa, zawartym w zeszycie T. Karren, jaki dołączono do programu widowiska „Kabaret Tuwima” (Teatr POSK; 8 aktorów z Teatru Ateneum i sześciuosobowy zespół muzyczny; występ na zaproszenie U. Święcickiej) p. Karren wspomina swą fascynację Tuwimowską „myszką”, gdy bawiła się z przyszłym poetą, jako mała dziewczynka.

Słowem — Tuwim bez swej znamiennej „myszki” nie byłby sobą, nie byłby prawdziwym Tuwimem. I to właśnie mam na myśli w tytule tych wrażeń z przedstawienia owego wędrownego kabaretu Tuwima, jaki zjechał do Londynu, by cieszyć się wręcz nieprawdopodobnym powodzeniem jak na nasze warunki: wszystkie przedstawienia wyprzedane! Co niekiedy musi świadczyć o zaletach kabaretu, ale na pewno świadczy o magii nazwiska Tuwima. Poza tym młodsza część widzów lubi oglądać aktorów, jakich może pamiętać ze swoich lat w Polsce. Dość, że na sali było gesto, chociaż brawa były raczej rzadkawe... Na okazane zainteresowanie tymi występami oddziaływał także fakt, że nazwisko Tuwima było u nas jakby wyklete z racji jego szybkiego powrotu po wojnie do Polski, jednoznaczne zdeklarowanie się po stronie nowych władz. Grydzewski nie chciał go drukować, uważał go za zdrajcę, a Tuwim, zaparty w złudzenie budowania nowej, socjalistycznej, humanistycznej Polski, z kolei uważał „Grydza” za zaslepionego głupca.

Niestety, ta kłątwa rzucana na poetę obejmowała także jego

Julian Tuwim bez „myszki”...

Zdzisław Broncell

twórczość przedwojenną i wojenną, a nie tylko cienie dawnych wierszy, jakie czasami pojawiały się po powrocie Tuwima do Warszawy. Stąd przemilczanie wspaniałych „Kwiatów polskich”, jednego z dwóch wielkich poematów, które próbowały dać panoramę Polski przedwojennej i przeprowadzić rozrachunek z klęską wrześnieją i jej przyczynami. Poemat Tuwima ukazał się szybko w Polsce, choć krytyka marksistowska zła go przyjęła; ów inny, drugi poemat mógł być drukowany w całości dopiero w okresie „Solidarności”. Kiedy więc teksty niepospolitego czarodzieja słów znów miały zabrznieć z polskiej sceny w Londynie, sposobność okazała się nie do pominięcia.

Ale wtedy wyszło na jaw, że był to Tuwim „bez myszki”, Tuwim nieprawdziwy, zaczynając od umieszczonego w programie przedświątecznego komentarza T. Karren, a kończąc na doborze tekstów i ich interpretacji, z nie wiedzieć po co doczeponą ubogą choreografią i muzycznym *arrangement*, odbiegającym od stylu lat trzydziestych i zamazującym tekst. Teksty Tuwima były zawsze proste i celne, ich melodie jasne i chwytliwe — nie było powodu, by upierać się przy ich upstrzeniu kieszonką ilustracji muzycznych. Tekstom starczyłaby wymowa świetnego Tuwimowskiego słowa, jego zręcznych rymów, potoczności i naturalnej codzienności języka jego piosenek, a melodiom — ich śpiewność, chwytliwość, ich wejście do warszawskiego folkloru, do muzycznej pamięci tamtych lat.

Wstęp zaś T. Karren, choć stara się jakoś sprawiedliwie rozszedzić losy między Tuwimem przedwojennym, a Tuwimem po powrocie, mieszkającym we wspaniałej willi ofiarowanej przez władzę, gdy ludzie gnieździł się jeszcze po piwnicach i dziurawych strychach, popełnia zasadniczy błąd: czyni z Tuwima polskiego poetę narodowego.

Wprowadza go Karren do narodowego Panteonu poetyckiego, gdzieś, na imieniny już w powojennej Warszawie obchodzone, dawna wielbicielka przyniosła mu kwiaty z karteczką życzącą poecie, aby „pisał takie piękne wiersze, jak dawniej”.

gdzieś w sąsiedztwo Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Wierzyńskiego...

Tuwim był bezspornie najwybitniejszym poetą lat 1918-1939, był świetny i odkrywczy, ale nie miał poczucia ani historii, ani roli poezji w polskim społeczeństwie. Gdyby naprawdę rozumiał swą ojczyznę, nigdy by nie napisał wiersza „Do szarego człowieka”. Nastroje pacyfistyczne przenikały ówczesną Europę, przerazając pierwszą wojną światową, i wierzącą naiwnie w Ligę Narodów. Na czele ruchu pacyfistycznego stał tak świetny pisarz jak Romain Rolland, ale w Polsce cisnęte przez Tuwima wezwanie do polskiego żołnierza „rzuć karabinem w bruk ulicy” równało się zbrodni narodowej. Z jednej strony była Rosja, niezadowolona z granic Traktatu Ryskiego, a z drugiej Niemcy czające na Pomorze i Poznańskie.

Zaprotestowano gwałtownie, czasem nawet z bezsensowną brutalnością (policzki wymierzane pisarzom spod znaku „Wiadomości”, zbierającym się na „pięterku” w kawiarni „Ziemiańskiej”), ale i wśród przyjaciół poety powstało przerazanie. Opowiadał mi kiedyś Waclaw Grubiński (autor „Kochanków” — jednej sztuki polskiej o kompleksie Edypa, i autor „Lenina”, za co skazano go w Sowietach na śmierć), że przyjaciele „Julka” wysłali do niego deputację, żeby mu jakoś wytłumaczyć, co też narobił! Na co Tuwim: — „Czego chcecie, przecież tam są takie dobre dysonanse”.

Si non è vero, è ben trovato. Jeżeli tak było naprawdę, trochę by to rozgrzeszało Tuwima. Tym niemniej przy całym holdzie dla jego talentu, nie ma dla niego miejsca w polskim narodowym Panteonie, choć jest wielkie miejsce na polskim Parnasie poetyckim! Z drugiej strony trzeba przyznać, że, wróciwszy do Polski, nie spadł ani do napisania holdowniczego wiersza dla „prezidenta Bieruta”, jak to zrobił Iwaszkiewicz, ani do spłodzenia „Poematu o Stalinie”, jak to zrobił Władysław Broniewski. Tuwim próbował wybrnąć w możliwy sposób z sytuacji niemożliwej, układał słowniki pijackie, redagował księgi humoru polskiego, grzął w badaniach lingwistycznych, antykwarskich poszukiwaniach, pisał mało i nie tak, jak dawniej. Czuł zawód, swą pomyłkę, swoją przegraną.

Sądzę, że Tuwim zrozumiał. I nieraz myślę, jakby się czuł, gdyby dożył czasów antysemityzmu Gomułki, kiedy to probowano Słonimskiego prawa drukowania za to, że powiedział „... Gomułka chce, aby każdy człowiek przynależał do swojej ojczyzny. Tylko

ja nie rozumiem, czemu moja ojczyzna ma być Egipt”.

Ciągle pisze się o polskim przedwojennym antysemityzmie — był, ale pisze się o nim z ogromną przesadą. Żydzi byli ministrami i słynnymi profesorami wyższych uczelni, nikogo nie usuwano ze służby państwowej czy samorządowej po prostu dlatego, że był Żydem. A tak właśnie robili „humanitarne, piętnujące antysemityzm” rządy komunistyczne. Tego się nie wypomina! A co do antysemityzmu na wyższych uczelniach, to pozwól sobie przypomnieć, że w warszawskiej Wyższej Szkole Dziennikarskiej, uczelni chyba jak najbardziej politycznej, nie dopuściliśmy do getta lawkowego. Gdy je próbowano zrobić, cały zarząd „bratniaka” zasiadł na wykładzie po doradzie stronie żydowskiej. I byłem wybrany prezesem tegoż „bratniaka” przy poparciu głosów żydowskich, nie należąc wówczas do lewicy politycznej.

Tuwim należy dziś do historii. Historia cześci jego talent, historia będzie sądzić jego akty polityczne. Ale wydaje mi się, że, na te tego wszystkiego, grubą przesadą w oddawaniu holdu poecie jest zamieszczenie w programie zdania, „Julian Tuwim był jednym z do-wodów istnienia Boga”. Co za wiele, to nie niezdrowo.

☆☆☆

W przedwojennej Warszawie Tuwim stale współpracował z polską sceną, dając doskonałe adaptacje-przekłady oraz pisząc teksty dla dwóch słynnych kabaretów „Qui Pro Quo” i „Cyrylika Warszawskiego”. Fragmenty wierszy, różne zwroty z piosenek, wchodziły do potocznego języka, były tak celne i bezpretensjonalne. „Milość ci wszystko wybaczy” lub „Stacja Chandra Unyńska” stały się częścią warszawskiego idiomu językowego.

Przedwojenny „Cyrylik Warszawski” był teatrem eleganckiego dowcipu, wytwornej urody, subtelnej aluzji. Konferansjerem, którego tutaj było brak, był Fryderyk Jąrossy (jego bratanek lansował w Londynie filmy Wajdy prowadząc kino artystyczne „Academy”), niezrównany w lekkości dowcipów podrzucanych mu przez Słonimskiego i Wieniawę — Długoszowskiego. Były tam takie gwiazdy, jak Lena Żelichowska, Mira Zimińska (... bo mężczyźni nie lubią miłości...) Stefa Górską, Zula Pogorzelską, Tom, Bodo, Rentgen itd. Grupa wykonawców z Teatru Ateneum nie może się z nimi równać, choć

A. Pilaszewska zasługuje chyba na wyróżnienie.

„Cyrylik” był teatrem elitarnym, teatrem dla inteligencji i kulturalnego mieszczaństwa. Zarówno szlagon z prowincji na bulwance w Warszawie, jak i tzw. „szary człowiek” nie rozumiałby jego dowcipów, a na pewno by się oburzył na Tuwimowskie tango „Szkarlata wiosna obmyje świat”, które dyskretnie pominięto w programie Ateneum... Za to marsz. Piłsudski śmiał się, gdy mu opowiedziano o skeczu bez słów, pokazanym pod tytułem „Piłsudski i jego doradcy” — na scenie, przy pasjansie, siedział Marszałek, wokół lustra wielokrotnie odbijające jego postać... Nie znaczy to, aby „Cyrylik” leżał plackiem przed władzą — były dowcipy o prezydencie Mościckim, tak zasyfrowane, że zrozumiał tylko dla wtajemniczonych. Żeby nie zdradzić sekretu, wydzono się śmiać... Głucha cisza na sali była bardziej wymowna od wszystkiego...

Szkoda, że do programu nie wprowadzono choćby paru znakomitych szkiców obyczajowych, i nie dano większej porcji wierszy Tuwima, tak znakomicie nadających się do recytacji estradowej. Szkoda wielu, wielu rzeczy... Ale sekret leży może w tym, że tamta tradycja jest chyba martwa dla dzisiejszego pokolenia, że nie potrafia już dać widowiska „historycznego”, a próbując włożyć dawną treść w bardziej dzisiejszą formę dają ludowy Kabaret Tuwima, do czego te literackie wieczory warszawskiej cyganerii zupełnie się nie nadają. Kto mi nie wierzy, niech przeczyta śliczną książeczkę Tadeusza Wittlina „Ostatnia cyganeria”...

Czy to by znaczyło, że nie warto takich przedstawień sprowadzać i korzystać dla nich z pomocy niebylewale zaufanej Fundacji Feliksa Laskiego? Ależ warte, ależ trzeba! Ażby mieć kontakt z rzeczywistością krajową! Ażby kolegom z Warszawy móc wytknąć słabość dykcji (słychać za to każde słowo Pakulinis), banalność reżyserii — może coś z tego wyniknie... I żeby przekonać się o prawdziwie przysłowia: cudze chwalcie, swego nie znacie! Gdybym miał do dyspozycji, jako reżyser, tutejszych aktorów: Delmar i Kitajewicz — do piosenek i do skeczów, Hanek Rawicz i Zofię Walkiewicz — do poezji i monologów, W. Piekarskiego — do świetnego noszenia fraka, K. Grocholskiego — do postaci charakterystycznych, Szymańskiego — do dekoracji, Gedia i Drue — do opracowań muzycznych, podjąłbym się łatwo pobić obecne widowisko, takie przecież mające powodzenie.